

ŁKS czyta książki

**PIOTR OLKUSZ**

Pracownik Instytutu Kultury Współczesnej UK, redaktor miesięcznika „Dialog”

Lubię 101 0

A A A



To największy spektakl sezonu 2014/15 w Łodzi. Z finałowym wezwaniem, aby zalegalizować kibolskie ustawki, bo to taka nowoczesna forma turniejów rycerskich. Jak wolność, to wolność! Niech się pozabijają, a potem będzie można ogłosić święto narodowe z okazji pozbycia się badziewia.

Chorea i jej przjaciele są w tym spektaklu bardziej przewrotni niż kiedykolwiek. Prowokują? Nie do końca. Raczej grają na nucie identyfikacji i kulturalnie tłumionych pragnień. A jak tabu przestaje być tabu, to się robi nieswojo.

Zagrane w plenerze *Derby. Biało-czerwoni* są opowieścią o toczonej na ulicach Łodzi wojnie Widzeviaków z Elkaesiakami, której finałem jest rozprawa sądowa mająca na celu ustalenie okoliczności śmierci młodego chłopaka. Zginął, bo poszedł na ustawkę. A poszedł na ustawkę, bo każdy u nas chodzi na jakąś ustawkę: jak nie kibolską, to rycerską, powstańczą, wojenną czy jakąkolwiek inną. I tak od tysiąca lat. „Bo jesteśmy naród milenijny”. I dlatego, że nie potrafimy żyć bez ustawek. Bo czyż nie bije nam „mocniej serduszko na widok serdeńka takiego w czerwonym kapturku, brykającego radośnie nóżkami po brzuszku kolegi, albo wyciągającego piąstki ku tym ząbeczkom zólcitkim”? I choć – rzecz jasna – to wezwaniem, byśmy narodowe problemy rozwiązywali metodami kiboli, mówione jest też sceny w posępnym oparze absurdu i dymie płonących tuż pod naszymi nosami stadionowych rac, to jednak wcale nie czujemy, aby propozycja była nam zupełnie obca. Siła spektaklu polega na przedziwnym obudzeniu kibola w każdym z widzów, niepozostawiającym złudzeń, że niby-wojny lsysch dresiarzy nas nie dotyczą. Że dzieją się obok nas, ale przypisane są do cudzego świata.

Dalem się złapać w pułapkę tego spektaklu już na początku, gdy – jakby chodziło o bezwarunkowy odruch – na pytanie „Za kim jesteś?” odpowiedziałem: „Za Widzewem”. Z dumą zasiadłem na mojej, widzeviakowej trybunie, upewniając się, że tam, po drugiej stronie, u Elkaesiaków, nie usiadł nikt znajomy. I jak jedna z „naszych” ruszyła biegiem przez murawę ukrasć „tamnym” koc (noc zapowiadała się zimna), to – gdy wróciła z welnianym trofeum w rękę – klaskałem, jak rzadko zdarza mi się klaskać w teatrze. Nie ja jeden. Nasza widzeviakowa wspólnota zbratała się tak szybko i mocno, że nie sposób było nie czuć dumy. A jak w pierwszej scenie spektaklu powieszono na murze wielki baner z napisem „Widzew pany”, to przeżywałem romantyczno-patriotyczne uniesienie, którego nie stłumiło nawet wycie wrogich widzów-kiboli z naprzeciwka. Gotów byłem wstać, jak wstaje się do hymnu albo do niedzielnego recytowania Credo. I nie byłem w tym uczuciu osamotniony. To była chwila naszego triumfu: mojego i siedzących obok mnie: znajomej z domu kultury, koleżanki z pracy na Uniwersytecie, byłego studenta... Nikt z nas pewno nigdy nie był na derbach Łodzi i oto pozwolono nam poczuć magię starcia dwóch światów. Dwóch rzeczywistości. Mitologicznych herosów jak z młodopolskich obrazów, władców zbiorowej świadomości jak z romantycznych arcydzieł. Nie przez przypadek gdy na murawie odgrywana będzie pierwsza z wielu scen bójk, z kibolskich gardel (już aktorskich, nie widzów) skandowane będą imiona: „Herkules! Achilles! Bolesław! Przemysław! Mieszko!”, a później „Mariusz! Marian!” i znów „Lech!”. Marzenie o mitologizowaniu swojej rzeczywistości było i jest naszym zbiorowym sportem, a kibolska ustawka to inny rodzaj wzniesienia, że dziełem dzisiejszego Mariusza był Mieszko. Pradziadem zaś – Achilles. A wszyscy narażali się i cierpieli za miliony. Nawet jeśli tylko mazali sprayem po murach albo kradli z przeciwniej trybuny koci.

Spektakl nie jest zatem opowieścią o jakiejś obcej grupie społecznej, ale pokazuje, jak dobrze ta kibolska wojna mieści się w naszym narodowym, romantycznym paradygmacie, w którym – mimo że wokół skrzeczy pospolitość – co drugi czyni rodzic się może z tęsknoty za wielkością. Tekst Artura Grabowskiego gra z twórczością naszych wieszczów: stadionowe zaśpiewki mieszają się z romantycznym metrum, a opowieść o życiu dla wojny klubów skrzy się od wizji narodowych poetów. Przy czym nie ma tu programowego odrzucenia którejs z narracji, a odnalezienie kpiny z kibolskich czynów i literackich wizji jest raczej wycznym widza niż zamierzeniem twórców spektaklu. Pewno, bardzo długo ogląda się ten spektakl z uśmiechem na ustach, a żywe kwestie co chwilę nagradzane są śmiechem widzów. Nie jest to jednak triumfalny rechot pogardy dla dylematów dresiarzy i bombastycznych wizji polskich poetów. Nie ma tu – jakże łatwej – radości z patosu dylematów Konrada (tekstem najczęściej wplatany we współczesną opowieść jest *Wyzwolenie* Wyspiańskiego). Śmiech jest jakąś dziwną obroną przed zwyczajnie nieznośną wizją – ale obroną, która traci siłę (i przestaje być używana) w zderzeniu z realną tragedią: tragedią chłopaka, który zginął w toczonej na naszych oczach wojnie klubów. Na imię – w spektaklu – było mu nie Mariusz, nie Mieszko, nie Achilles, ale Konrad. Ten sam, co u Wyspiańskiego? Jeśli uznamy, że ten sam, to znów wszystko zatopimy w falach przypływu narodowego romantyzmu. A zginął przecież – podobnych przypadków w Łodzi i w całej Polsce w ostatnich latach było wiele – bardzo konkretny człowiek. Nie literacki bohater.

Bo przedstawienie to, będąc opowieścią o ciągłym obowiązywaniu paradygmatu romantycznego w naszej kulturze, pokazuje sposób, w jaki genetyczna wręcz tęsknota za mitologizowaniem wszystkiego staje się metodą odrealniania różnorodnych tragedii i rozmywania problemów. Twórcy spektaklu z wielką pieczołowitością analizują proces narodzin kibola, takiego, co to gotów jest iść z nożem na ustawki. I pokazują, w jaki sposób nasze narodowo-romantyczne myślenie infekuje umysł młodego dresiarza, który w imię wspólnoty, niczym – tym razem Mickiewiczowski – Konrad jest w stanie kochać i cierpieć za miliony. Czy zgolenie głowy i zakup dresu to bardziej obrona przed dziedziczną z pokolenia na pokolenie biedą czy odpowiedź na jedyną propozycję, którą formuluje nasza rzeczywistość, a która ma zgola romantyczną proveniencję? A może jedno i drugie? Jeden z najsłynniejszych napisów anonimowej akcji gratyfikacji realizowanej w kontrolce do łódzkiej wojny futbolowej to deklaracja z baluckiego muru: „ŁKS nie czyta książek” – nic bardziej mylnego. Twórcy spektaklu – nie sugerując, że organizatorzy ustawek rozczuli się w *Dziadach* – pokazują, jak blisko jest jednak kibolskim działaniom do literackich tropów.

I jednocześnie potrafią nadać tej diagnozie bardzo lokalny charakter. Jedną ze scen spektaklu, rozmowa Babczi z Wnuczką, do złudzenia przypomina dialog Osowiekiej staruszki i Małej metalowej dziewczynki z *Między nami dobrze jest* Masłowskiej. Z tą tylko różnicą, że – jak zauważa Wnuczka – łódzka Babczia przeżyła wojnę zupełnie inaczej, niż przeżyła ją Osowiecka staruszka: w Łodzi nie było powstania. „Szkoda, że nie widziałas wojny” – powie Wnuczka. „Może i szkoda” – odpowie Babczia. Ale ta wymiana zdań otwiera zupełnie nowy podrozdział opowieści – o tym, na ile kibolskie wojny (szybko okazuje się, że w dialogu może jednak nie chodziło o wojnę światową, ale o walkę klubów) są lokalną odpowiedzią na potrzebę heroicznej historii. Jakby miasto pozbawione miejsca w polskiej narracji historycznej próbowało sobie to miejsce zdobyć – naszą wersją powstania warszawskiego czy naszą wersją gdańskich protestów (te na myśl przywodzi scena pogrzebu Konrada, niesionego jakby na drzwiach, wzorem Janka Wiśniewskiego – kolejnego wcielenia Mickiewiczowskiego herosa). Na razie Łódź wydaje się jednak dziwnym skansenem, o którym można sobie – z odległej perspektywy – opowiadać komunały albo w którym można kochać się jak krakowscy artyści w bronowickiej wsi. Jedno nie wyklucza drugiego, co w tym spektaklu doskonale ukazuje – tu przepisano rozmowy Dziennikarza z *Wesela* – spotkanie Dziennikarki z kibolem. Ona, Jessica w modnym stroju, pyta łysego dresa: „Czy pan reprezentuje jakąś grupę?”. Odpowiedź: „Chciałbym cię złapać za dupę”.

To nie jest spektakl interwencyjny, a jednak wpisuje się w szereg prac Chorei będących dyskusją z miastem. Dyskusją, która – choć nie powtarza się nieustannie wielkich słów o potrzebie zmiany i aktywizowaniu widzów – prowadzi do konkretnych rezultatów, z których najważniejszym jest budowanie szczególnego rodzaju teatralnej wspólnoty. Chorea nie ma problemów ze zgromadzeniem widzów i znajdowaniem współpracowników: zapewne dlatego, że ten teatr umie wychodzić w stronę różnorodnych inności. Przeszedł olbrzymią ewolucję od czasu pierwszych łódzkich spektakli, pokazując, czym jest realny dialog z miejscem i jego mieszkańcami. W *Derbach...* wystąpili poza „etatowymi” aktorami Chorei także adepci i chór Chorei, ale również aktorzy Pinokia i Filmówki (a to prawdziwy ewenement, bo Filmówka bywa krytykowana za hermetyczność i zamknięcie na miasto). Tomasz Rodowicz grał tą różnorodnością technik i umiejętności, tworząc widowisko tyleż ciekawe, ile wiarygodne w swojej różnorodności.

Podobnie było w innym dużym widowisku przygotowanym niedawno przez Choreę we współpracy z Teatrem Pinokia oraz Teatrem Szwalnia, Pracownią Fizyczną, Grupą KJIO – *Dialogus De Passione#Pasja Dialogu*. Prezentowane w Wielki Piątek na cieszącej się złą sławą ulicy Włókienniczej misterium Męki Pańskiej było między innymi dalszą częścią refleksji na temat sporu wokół *Golgota Picnic* z zeszłego roku (wielu uczestników wielkopiątkowego wydarzenia rok wcześniej zaangażowało się w organizację lektur sztuki Garcii w imię solidarności z jego artystami). Spektakl dla wielu był zaskoczeniem, bo artyści postanowili spróbować opowiedzieć mękę Chrystusa z niemalże sakralnym skupieniem, choć przecież od początku do końca wpisywali się w tradycję teatralną: raczej rzemieślniczą niż duchową. Co więcej, jakby próbując znaleźć język kontaktu z tymi, którzy niemal rok wcześniej czuli się oburzeni spektaklem Garcii, opowiedzieli historię bez wykorzystania krzyża, pytając o kwestię dosadności w opowiadaniu historii należących do wspólnego dziedzictwa.

Efekt, który otrzymali, był niezwykle ciekawy z artystycznego punktu widzenia, ale także pokazywał moc „lokalnego” myślenia w wykonaniu Chorei i zaprzyjaźnionych z zespołem artystów innych łódzkich teatrów i grup. Chrystus w koronie ciemnowej idący przez naprawdę niebezpieczną ulicę, wśród antysemitkich napisów, wciągany przez oprawców do bram i podwózek, które na co dzień są sceną ulicznych bójek, ponownie stał się postacią uniwersalizowaną, wspólną dla obu stron sporu wokół *Golgota Picnic*. A jednocześnie spektakl nie stygmatyzował miejsca: to nie była diagnoza problemów łódzkiego bieguna ubóstwa tworzona z wysokości artystowskiej katedry.

Czy *Dialogus De Passione#Pasja Dialogu* zostanie jeszcze nagrany? Pewno nie. Zresztą jego jednorazowość, mimo olbrzymiego rozmachu, stanowiła także ważną wskazówkę interpretacyjną. Trzeba jednak mieć nadzieję, że w nowym sezonie Chorei uda się pozyskać środki na ponowne pokazy *Derbów...* Spektaklu prawdziwie wyjątkowego.

8-07-2015

Teatr Chorea w Łodzi
Derby. Biało-czerwoni
scenariusz: Artur Grabowski
reżyseria: Tomasz Rodowicz
muzyka: Tomasz Krzyżanowski
choreografia: Adrian Bartzak, Elna Toneva
scenografia: Tomasz Rodowicz
kostiumy: Ewelina Malinka
światła: Tomasz Krukowski
obsada: Jakub Krawczyk, Michał Józwiak, Łukasz Bzura, Piotr Osak, Michał Śliwa, Cezary Kolacz, Tomek Marczyński, Wojtek Lato, Majka Justyna, Adam Biedrzycki, Adrian Bartzak, Remigiusz Pilarczyk, Marta Rakowska, Joanna Kosarkiewicz, Aleksandra Przesław, Diana Krupa, Marianna Zydek, Ewa Otomarska, Marta Kaczmarek, Damian Kukałka, Piotr Fraszczycski
chór CHOREI: Elna Toneva, Milena Kranik, Joanna Klos, Jacek Czapanik, Jacek Witych, Marcin Kobylirski, Janek Caban, Anna Przybył, Ola Szalek
premiera: 18 i 19.06.2015 w ramach Festiwalu Łódź Czterech Kultur

TAGI: Tomasz Rodowicz, Artur Grabowski, Tomasz Krzyżanowski, Adrian Bartzak, Elna Toneva, Ewelina Malinka, Tomasz Krukowski, Łódź, Teatr CHOREA.

Udostępnij

Lubię 101 0

SKOMENTUJ

Autor lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

jeden razy osiem jako liczbę:



KOMENTARZE (3)

Mariusz Piławski | 2015-07-23 23:35:11 ## Cytuj

Paanu Redaktotrowi myślę się formuły teatralnego bytowania- teatr klasyczny miesza z teatrem offowym, undergroundowym, ekperymentalnym , interwencyjnym, teatrem amatorskim, półamatorskim, poszukującym.. ale w chwili gdy osiąga się orgazm cale postrzegania świata może się rozmywać i patrzmy na wszystko spod lekko przymkniętych powiek.. Wrzucił Pan wszystko do jednego tygla i pomieszał na maxa doznając uniesienia - lubo katharzis. Dziwne jest tylko to,że jako doktor nauk teatrologicznych powinien Pan oddzielać gatunki, rodzaje od siebie a nie wresztorze wkładać do jednego wora. Świat jest różnorodny, nieprawdaż Panie Redaktorze?

Piotr Olkusz | 2015-07-10 13:36:59 ## Cytuj

To prawda! I choć nie napisałem niczego, co by temu przeczyło, to – oczywiście – zdanie o współpracy pięciu zespołów zatarło tę hierarchię. Tak – głównym organizatorem Dialogus De Passione#Pasja Dialogu był Teatr Pinokio, a reżyserem jego dyrektor Konrad Dworakowski (wszystko powstało zaś w ramach akcji Dotknij Teatru 2015). Za nieprecyzyjne sformułowanie z recenzji przepaszam: Teatr Pinokio, ale i pozostałe teatry przygotowujące tamto przedstawienie, od dawna realizują spektakle, raczej z myślą o tworzeniu ciekawych inicjatyw i szukaniu nowych widzów, niż o troszczeniu się o własną markę. A teraz Pinokio padł – przeze mnie – ofiarą tej sytuacji – bardzo Teatr i Reżysera przepaszam i – przy okazji – rnie jeszcze dziękuję za wspólny spektakl.

Katarzyna Skręt | 2015-07-10 10:13:08 ## Cytuj

Teatr Pinokio był głównym organizatorem "Dialogus De Passione#Pasji Dialogu", natomiast Teatr Chorea, jak i inne wymienione zespoły, współpracowały przy tworzeniu tego wydarzenia.

REDAKCJA | PATRONATY | PARTNERZY | WSPÓLPRACA | SZKOŁA | REGULAMIN | KONTAKT | RSS

ALL RIGHTS RESERVED TEATRALNY.PL